

# Listy jak opium



Doostałam w prezencie od pani prof. Reny Tomaszewskiej dwie książki: Małgorzaty Musierowicz „Opium w rosole” i Zbigniewa Raszewskiego „Listy do Małgorzaty Musierowicz”. Pani Rena wręczając mi je, zarządziła kolejność czytania:

– Masz najpierw przeczytać „Opium”, a potem „Listy”. Pamiętaj!!

Tak zrobiłam. „Opium” połknęłam jednym tchem. Powieść dla młodzieży, ale i nie dla młodzieży. Baśń o nie kochanej przez rodziców, lub raczej źle kochanej Aurelii-Genowefie, wędrującej po poznańskiej dzielnicy Jeżyce w poszukiwaniu domowego ciepła, zwyczajności powszechnego dnia, rosolu z makaronem przy wspólnym stole. Znajduje to wszystko u prostych ludzi, wrastając w ich problemy lat osiemdziesiątych, biorąc w nich zbyt gorliwie udział i wywołując wiele zabawnych perypetii.

Czarująca książka z ogromnym poczuciem realizmu, uwierzytelniającym wszystkie postacie i sytuacje. No! Tę zadaną przez panią Renę lekcję odrobiłam z wielkim zadowoleniem.

Zanim zaczęłam czytać „Listy” Raszewskiego do autorki „Opium”, przez chwilę przytrzymałam książkę w ręce i uważnie obejrzałam okładkę. W amerykańskim planie podobizna autora na tle otwartej lotniczkiej koperty. Przystojny pan mile uśmiechnięty.

Profesor Zbigniew Raszewski to legenda w świecie nauki. Choć nie znałam Go osobiście, bardzo dużo o Nim wiedziałam. Był szanowaną i znaną postacią w moim środowisku. Widywałam Go czasem w teatrze, rzadziej na oficjalnych spotkaniach, najczęściej w Szkole Aktorskiej, w której wykładał historię teatru.

Lubiłam zobaczyć Go w długiej perspektywie korytarza, nieśpiesznie podążającego na wykład, lub z wykładu wracającego. Wysoki, nienaganny w swym garniturze, nigdy broń Boże w swetrze lub jakiejś sportowej odzieży, opanowany, o ruchach dobrze wymierzonych, z jasnym, mądrym spojrzeniem okrytym błyskiem szkła okularów, budzący swoją akurataną postawą respekt, trochę lęk. W rękę zawsze teczka. Surowość sylwetki łagodził jedyny element męskiej kokieterii, srebrny wąż a la Mościcki. Przypuszczalnie, gdyby kiedyś doszło do rozmowy między nami, byłabym mocno skrępowana i jego chłodną rezerwą, i moją wiedzą, że nie akceptował teatru, w którym kiedyś przez wiele lat pracowałam. Jednak lubiłam Go, takiego dalekiego, nieosiągalnego. Choć wcale niestary, robił wrażenie osoby z innej epoki, tej przeszłej, bardziej zdyscyplinowanej, przestrzegającej konwenansów zawodowych i towarzyskich, i ten anachronizm w pejzażu współczesnym, rozbabranym i rozluźnionym do przesyłu i stawiające przeszko. Powaga i solenność Profesora dawała rękojmię wartości studenta i to chyba było najcenniejsze w ich wzajemnych stosunkach.

Młodzież w szkole opowiadała się za tym stylem. W poszukiwaniu autorytetów intuicyjnie wybrała ten. Wcale niełatwy, ani wygodny. Narzekała, że ZBYT wymagający, albo ZBYT surowy, ale w końcowym rachunku ze szkołą zwyciężyło nie to, co najmilsze lub najwygodniejsze, ale właśnie zmuszające do wysiłku i stawiające przeszkody. Powaga i solenność Profesora dawała rękojmię wartości studenta i to chyba było najcenniejsze w ich wzajemnych stosunkach.

Póki żył profesor Raszewski i wykładał w Szkole, Szkoła miała rangę UCZELNI, bo On wnosił do niej piętno Wybitnego Znaczenia. Nobilitował ją i wszystkich nas, uczących w niej.

I otóż czytam Jego pierwszy list do nie znanej Mu jeszcze autorki „Opium w rosole”, w którym pisze o swoim zachwycie dla książki. Może dobrze, że nazwisko profesora było nie znane pani Małgorzacie, bo to pozwoliło jej odpisać beztrzesko i wesoło. Profesor podchwycił ten ton i wywiązała się interesująca korespondencja, a z nią równoległe przyjaźń ludzi, którzy, jak mówiła Ania z Zielonego Wzgórza, na pewno „znali Józefa”. Korespondencja i przyjaźń odśladająca Zbigniewa Raszewskiego, niekonwencjonalnego, dowcipnego, pełnego wdzięku, często igrającego słowami, jak dobry kumpel.

Kończyłam czytanie z uczuciem ogromnego wzruszenia. I żalu. I jakiejś zazdrości. Że nie znam Go, że nie obcowałam z Nim i że nie uczyłam się u Niego. Lektura obudziła tęsknotę za lepszym światem, rządzonym dobrymi intencjami i czystymi uczuciami.

Decyzja wydania listów drukiem wydaje mi się słuszną, mimo wszystkich oporów adresatki, które doskonale rozumiem, ponieważ nie żyjemy w świecie naszych tęsknot, lecz w świecie brudnych intencji i wieloznacznych uczuć. Ale stało się dobrze.

Widzę te listy w wymiarze ostatecznych zwierzeń, w obliczu pewnej, bliskiej śmierci. Może takich „Listów do świata” Emily Dickinson? Na adresatce tych zwierzeń profesor się nie zawiódł. Nie mógł się zawieść, zbyt uważnie wysłuchiwał ją sobie w książce napisanej przez nią, a podsuniętej do przeczytania przez żonę, panią Annę Raszewską.

Akcja „Opium w rosole” toczy się na Jeżycach w Poznaniu, wśród tych samych ulic, którymi w młodości chodził profesor. „Nazajutrz po zdaniu matury wróciłem do Poznania, żeby się zapisać na studia. Zdażyłem jeszcze na pamiętną, pierwszą po wojnie inaugurację roku akademickiego 1945/46. Zamieszkałem od razu na Jeżycach, na Reja, na poddaszu, ale z balkonem”... „Moja żona mieszkała w panińskich czasach na Zakręcie i jeszcze z tamtych czasów mam zakodowane w pamięci trasy trójki i szóstki. Trójka miała wtedy dwuwagonowe pociągi ukradzione ze Szczecina. W barwach szóstki poruszały się melancholijnie bardzo stare, pojedyncze wozy motorowe. Wszystkie tramwaje w Poznaniu miały wtedy pałaki z kółkiem w charakterze zbieracza. Na zakręcie mieszkał wtedy także Tadek Strumiłło. Był on tak rycerski, że jeśli akurat szóstka uciekła, a z Tadkiem szła wybranka mego serca, Tadzio pędem dopadał tramwaju i szarpał za linę. Kółko wypadało wtedy z przewodu i wóz stawał. Ten Tadzio zupełnie wyglądał jak Kmicic. Był świadkiem na naszym ślubie, zginął w lawinie, w Tatrach, nadzieja polskiej muzykologii, która po dziś dzień czeka na drugi taki talent”.

Tadeusza Strumiłło, czyli Bemola, znałam doskonale i zrobiło mi się dziwnie ciepło, że ktoś z moich zaświadczał małżeństwu państwa Raszewskich.

Jakie zatraski pamięci zostały przez lekturę książek Małgorzaty Musierowicz poodpinane, że spowodowały taką erupcję ciepła, wdzięku i humoru? To już pozostanie tajemnicą pana Profesora.

Ale objawił inną, zachwycającą. Miłość do literatury młodzieżowej. Nie lekceważył jej, ani nie zapominał o niej. Przepadał za Anią z Zielonego Wzgórza, Koziółkiem Matołkiem, Lolkiem Grenadierem, Puchatkiem i Kłapouchym, wracał do nich, aby zobaczyć się z nimi, na nowo odkryć ich sobie, niejako odwiedzić ich, odbyć z nimi krótką lekcję i przelożyć ją na dorosłe życie.

Wybitny historyk teatru, profesor Instytutu Sztuki PAN, wykładowca PWST w Warszawie, wieloletni redaktor „Pamiętnika Teatralnego”, oraz „Słownika biograficznego teatru polskiego”, onieśmielający autorytet, deklaruje w swych listach ochotę napisania na ścianie swojej kamienicy „KOCHAM KRESKE” – imię bohaterki książki dla młodzieży, którą specjalnie sobie upodobał.

Bezczelnie przynajmniej się, że mogłabym zrobić to samo. Po lekturze „Listów” łakomię się napisać na jakimś płócie lub murze „KOCHAM PROFESORA RASZEWSKIEGO”. Ale byłby to tylko wybrzyk egzaltowanej aktorki. Natomiast widok Profesora smarującego kredą po ścianie, to już zupełnie inne wydarzenie.